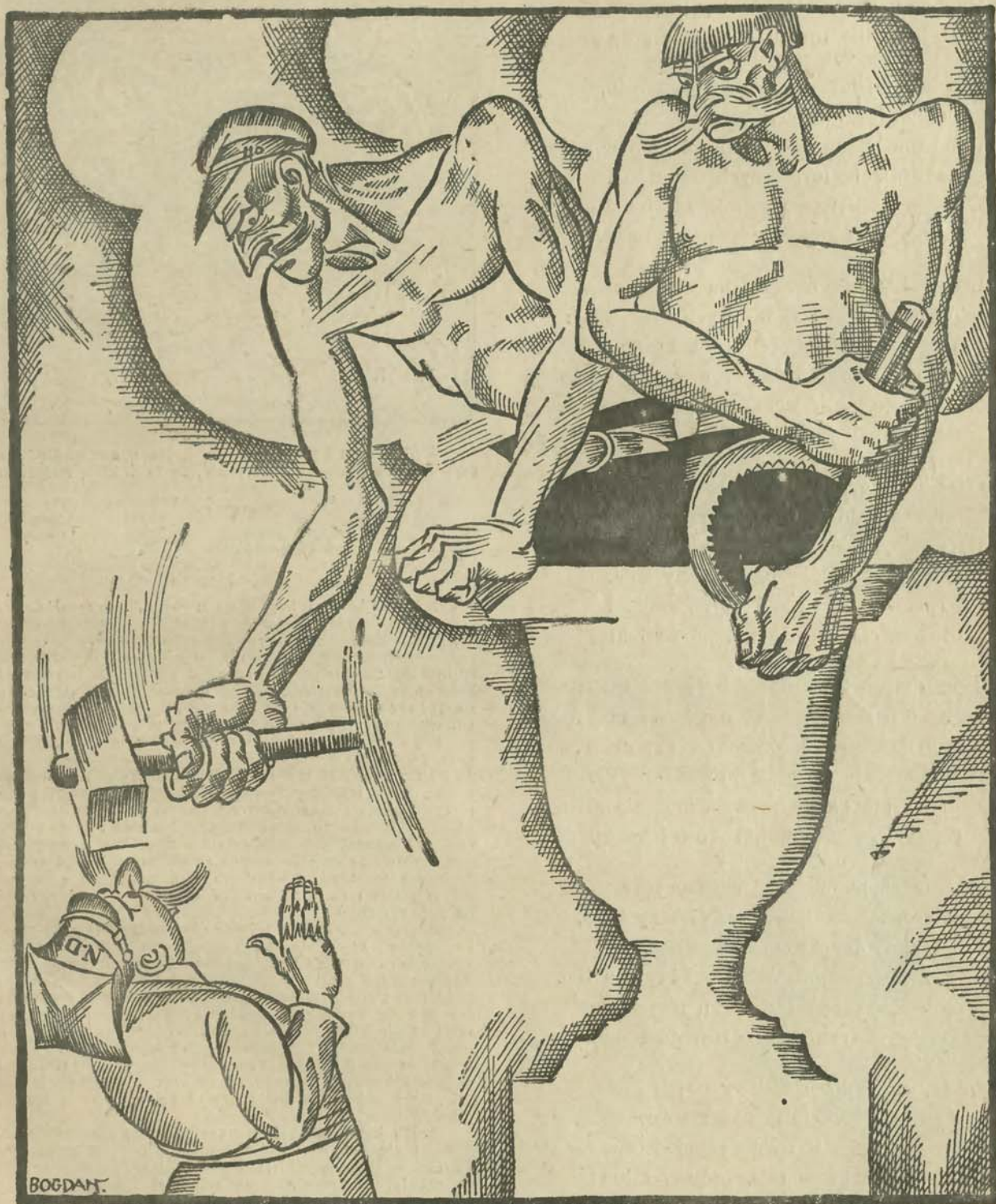


REDAKCJA
Kopernika 34
i Wspólna 45.
ADMINISTRACJA
Biuro Ungra
Senatorska 12.

MUCHA

PRENUMERATA
w Warszawie
i na prowincji
kwartalnie
marek 1350.
Konto czekowe
P. K. O. № 4680



Stara rozmowa lewicy z prawicą.

— Stawiasz się, prawico, ale nie zapominaj, że i myśmy wyszli z urny.



Do Stanów politykujących.

Kiedy nam wolność otwarła swe wrota
I życia pełny potoczył się bieg,
Wszystkim nam przyszłość marzyła się złota,
W sercu swem każdy radował się człek.
Słuchano przemów, odezwy czytano,
Stając nabożnie przed każdziutką ścianą.

Bowiem po latach straszego ucisku,
Co polityczne życie nasze ómił,
Wierzono mocno, że wolność nam w zysku
Da ujawnienie śpiących dotąd sił,
Że nam państwową rację stanu zbudzi—
Szereg wybitnych w polityce ludzi.

Lecz jakże srogo zawiodła nadzieja
Tych, co wierzyli w owych ludzi moc:
Pełną jest bagien polityczna knieja,
Zgnitych zaników panuje w niej noc.
Z owej się kniei wkrąg zaraza szerzy:
Dziś każdy jeno w rację partji wierzy!

Chociaż u granic wraże syczą gady,
Nikt się nie troska o Ojczyzny los,
Partyjna wściekłość i partyjne zwady
Wciągają Polskę na zagłady stos.
Ci, co na czele owych partji stoją,
Cheą w cały naród przelać wściekłość swoją.

Lecz darmo każdy swoim jadem truje:
Struć cały naród — to nie łatwa rzecz!
Naród fałszywych proroków przeczuje,
W porę się ocknie i powie im: „Precz!“
Choć każda partja przed drugą się sady,
Są tylko pianą w narodowej kadzi!

A chociaż piana pieni się i pryska,
Pozna się na niej i największy kiep,
Bo piana pianą okaże się zbliska,
A nie napojem! Więc próżny ten lep.
Dosyć ma naród tych pian niepokoju:
Do życia trza mu—zdrowego napoju!

Więc, kto ludowi zdrowy napój poda,
Ten jeno będzie miana zbawcy wart,
Lecz wiedźcie: w ludzie płynie krew, nie woda,
A siły partji — to są domki z kart,
Które, gdy spokój do partji nie wróci,
Lud jednym gestem złości swej rozrzuci.



— Oj, jaki ja bidny! Choć na kupie marek siedzę, ale gdzie ta mi się równać z Bartkiem, co kupił Złotą Pożyczkę!

List Kazia do Babei.

Kohana baBciu!

pyta sie kohana bapcia co u nas W warszawie slychać—teraz to już troche pszestało bo sie skończyli wybory. Tato sie cieszy i zaraz kópił wudki a mama nie i mawi że stych papieruf co niemi mury pszes cały miesiąc zaklejali to możnaby dla fszystkich szkół kajetuf na rok narobić, ale to nieprawda, bo mama sie na polityce nie zna i na głosowaniu nie była boby rosół wykiptał . i pyta sie Bapcia co ja robie, to nic więcej tylko mame do grobu wpędzam bo same dwujki ze szkoły pszynosze. Ale prosze bapci czy to moja wina że pan nauczyciel tak sie przez czas Wyborów rozagitował, że wciąż mu dwujka w głowie. A człowiek nie jest socjalistą i musi cierpieć, bo jak tylko w domu te dwujki zobaczą to zaraz kszyczą jak na jakim wiecu com raz slyszal jak poszedlem z frankiem synem naszego dozorczy co jego ciotka tylko na takich głosowała co się w użędzie ktyrzem podpisują, bo ona jest dobra polka i katoliczka i ma sklep czyli mleczarnie na jednym rogu.

A wcale niesprawiedliwie sie prosze baBci namnie i w domu i w szkole zloszcą dlatego że mnie na klasówce wyszło nie 28 jak było trzeba a nic nie wyszło. Ale jak mnie miało wyjść, kiedy się ósemka z dwujką poklucyli i nie chciały stać obok siebie tylko się z krutek w kajecie tak wypychaly i jedna drugiej na łeb lazła aż sie kleks wziół i zrobił. To czy ja jestem winien? Ale sprawiedliwości żadnej niema ani we szkole ani w domu dla ludzi niepolitykujących i tyle. Już to nasza kuharka jeszcze pszed wyborami muwila jak jej mama odebrała białą wstążkę co ona ją mamie z kufra wzięła.

A jak kohana baBonia pszyjedzie to niech Zosi cókierkuf nie pszywozi tylko mnie bo ona sie pszezywa i muwi że ja jestem hjena bo zawsze ósemką jeżdże do szkoły, a pszecie inny tramwaj od nas w tamte strone nie idzie to ona żadny słuszny racji nima i jest głupia.

kohajoney Babonie wnók

Kazio.

Anno Domini MCMXXII.

Pan Józef, urzędnik Urzędu Użytkowania Zużytych Nieużytków, był bardzo lekkomyślny, albowiem strzeliło mu coś do głowy i poślubił młodą pannę Emilcię, równie jak on lekkomyślną, która ni z owego, jeno z czystej miłości, nieobarczonej żadną „wojenną“ wyprawą, zgodziła się zostać poślubioną przez pana Józefa.

Raz, dwa, trzy! pan Józef i panna Emilcia stali się małżonkami.

Małżeństwo! Wiadomo, taki twór musi coś jeść, gdzieś mieszkać, a czasy ciężkie, bardzo ciężkie — i to wszystko trzeba obliczać na dwie osoby! A co dwie, to nie jednal! Wiadomo!

Za połowę pensji pana Józefa małżeństwo wynajęło pokój przy znacznej i bogobojnej rodzinie, oczywiście bez prawa używalności kuchni i przedpokoj. Pokój był trzy kroki długi, a dwa szeroki, coś jak suta trumna na dwie osoby.

Ale młode małżeństwo to twór ogromnie optymistyczny. Rade z sufitu nad głową i podłogi pod nogami, pomyślało zaraz o uścieleniu gniazda. Wymierzywszy dokładnie papierowym szpagatem rozmiary ścian, kątów, okna, pieca i progę, udali się po kupno mebli.

Kupili szafę, stół, krzesło, miednicę i jeszcze jeden garnuszek.

Gdy przyszło co do czego wieczorem, okazało się, że nie mają na czym spać. Na szczęście było jeszcze dość wcześniej. Pan Józef pobiegł na miasto i kupił składane łóżko. Okazało się jednak, że składane łóżko jest obliczone tylko na jedną osobę. Wobec tego małżeństwo ciągnęło losy. Za wolą wyższej Opatrzności jedna połowa małżeństwa miała spać od wieczora do północy, druga od północy do rana. Miało to swoje złe strony, ale miało i jedną dobrą, zważywszy, że pan Józef już i tak pobierał dodatek na „małą rodzinę“, choć na szczęście miał tylko jedną osobę, to jest żonę. Zawsze coś nie coś zaoszczędziło się na tem.

Młode małżeństwa, jak już wspomnieliśmy wyżej, są bardzo optymistyczne. Ale cóż, kiedy okazało się, że w szafie można trzymać ubranie, pościel, buty i brudną bieliznę, ale jednocześnie nie należy tam wówczas wkładać chleba i wędliny, a także wiaderka z brudną wodą.

Chleb i wędlinę umieszczono więc między oknami, ale nie dało się tego zrobić z wiaderkiem.

Pomyślowy pan Józef wbił hak w sufit i na nim zawiesił wiaderko. Niestety, odtąd można było chodzić jedynie na czworakach w obawie przed potrąceniem owego naczynia chlustającego przy pierwszej lepszej okazji brudną, suto namydloną wodą.

— Mamy już składane łóżko, które na dzień można zakładać na szafę, jaka szkoda, że nie wymyślono

składanych wiaderek, a przynajmniej składanej wody! — wzdychał pan Józef — Umyłby się człowiek, a potem taką niepotrzebną wodę złożył, wsunął naprzykład pod krzesło, zakrył kurjerkiem i spokój.

Pani Józefowa inne miała marzenia. Zrazu marzyła o własnej kuchni, potem o używalności kuchni swej gospodynii, wreszcie przeczytała jakiś artykuł o nadzwyczajnych postępach chemii.

— Mężyku! mężyku! — wołała uradowana — niedługo będziemy mogli mieć zupę, mięso i jarzynę w pigułkach! Zobaczysz, że za parę miesięcy...

Ale pan Józef nie czekał tak długo. Poszedł do apteki, kupił pigulek jakie obecnie wyrabiają, potem przyszedł do domu, zjadł te pigułki i... umarł.

Pani Józefowa chciała z rozpaczycy uczynić to samo, ale pokój był ciasny i nie mieściły się w nim jednocześnie dwie osoby w pozycji leżącej.

Pani Józefowa... powiesiła się prostopadle do trupa męża, a równolegle do wiszącego wiaderka.

Tym razem, na szczęście, nie było w niem brudnej wody.

Wyroki sądowe.

W sprawach o rozmaite zbrodnie i nadużycia, rozstrzyganych w ostatnich dniach, zostali skazani:

B. prezydent ministrów Ignacy Paderewski za całowanie przywódców Litwy Drodkowej tam, gdzie nie należy (w Paryżu) na dalszą jazdę z koncertami bez wysługi lat.

Dyrektor Tow. Cedergren za podwyższanie abonamentu telefonów bez porozumienia się z abonentami, na widywanie się ze swemi sympatjami tylko przez telefon.

Magistrat m. st. Warszawy za futurystyczne traktowanie repertuaru dramatycznego, przemianowany na Urząd Strat m. st. Warszawy.

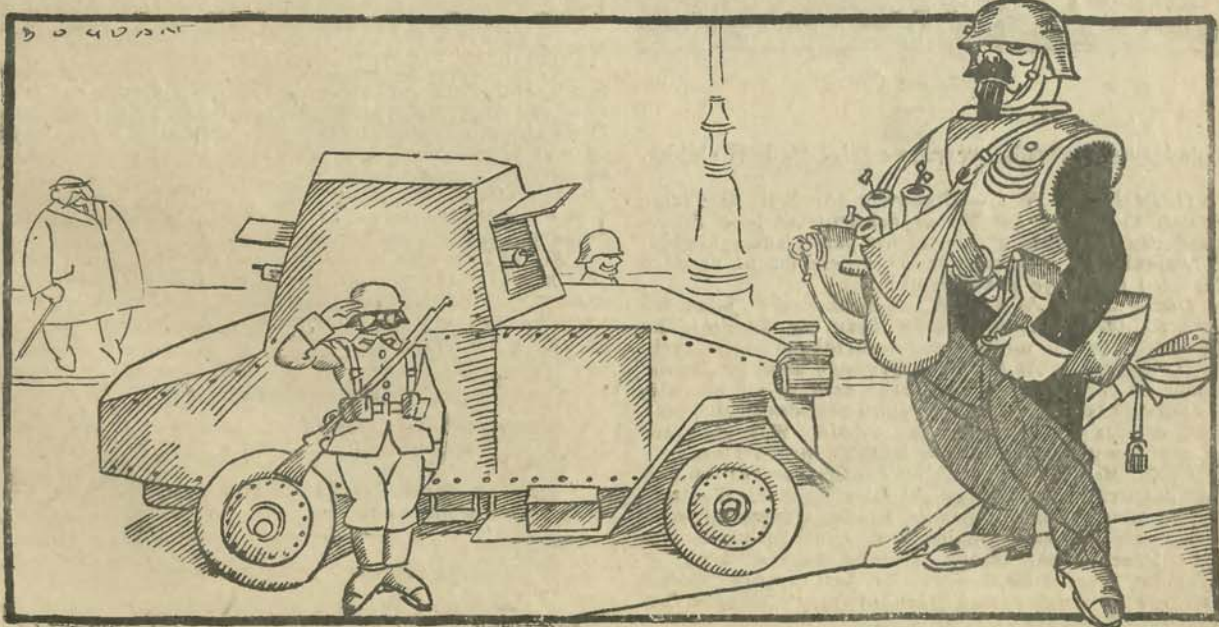
Wszystkie kury w Rzeczypospolitej, za znoszenie jaj w cenie po 120 mk. za sztukę, na zapisanie do odpowiednich partji ludowych.

Ubodzy m. Warszawy za natrętą żebranię, na posyłanie swoich dzieci do gimnazjów prywatnych z obowiązkiem płacenia stutysięcznych wpisów pod karą śmierci.

Fatalna korekta.

Redaktor dziennika do łamacza:

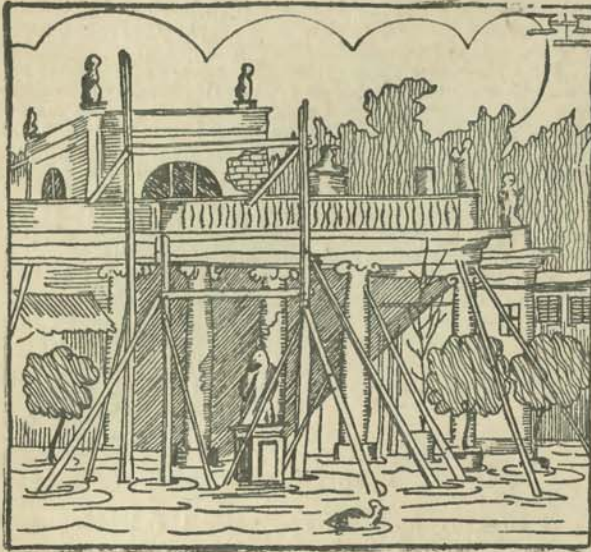
— Niech też pana drzwi ścisną, taki ważny telegram wstawiłeś pan do numeru bez korekty. W depeszy z Rzymu zamiast: „Likwidacja Komunistów włoskiego“, wyszło: „Komizmu włoskiego!“



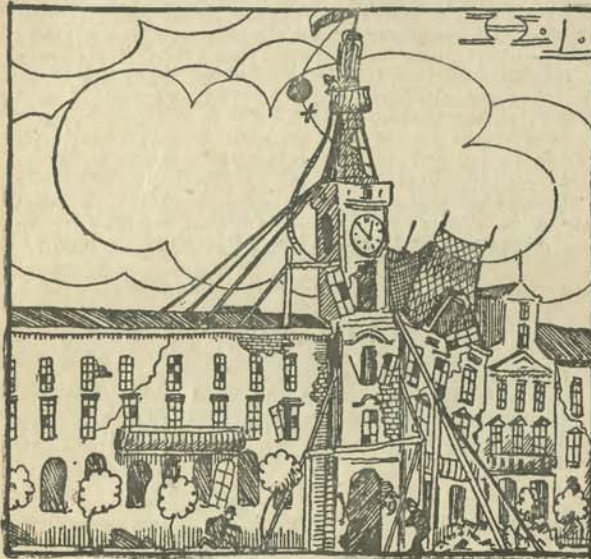
Jak jeździ po Berlinie prezydent republiki niemieckiej.

Wirth. — Duszno, bo duszno w takiej „pancerce“, ale chyba mnie w niej kula monarchistyczna nie dosięgnie!

Warszawa za rok.



I. Teatr Wielki.



II. Ratusz

Posiedzenie teatralne Warszawskiej Rady Miejskiej.

Ojciec Miasta № 1. — Panowie koledzy! Kiedyśmy już dali kłonicę w łeb Wroczyńskiemu za jego sztukę „Ona“ czy też „Tamta“, bo już nie pamiętam, możebyśmy wzięni się i za jensze sztuki, co chodzą po naszych scenach i trochę je przetrzebili? Co?

Ojciec Miasta № 2. — A no, czemu nie? Ja na ten przykład, jako rzeźnik z fachu znam się świetnie na sztukach mięsa, to mogę gadać i o sztukach teatralnych.

Ojciec Miasta № 3. — Jezdem tego samego zdania. Gadała mi córka o jakimś Szekspierze, że się okazało, jako on był fałszerz i pod innych się podszywał. Jego sztuki chodzą u nas ciągiem na scenie. Won go z desek scenicznych a samego za fałsz do prokuratora.

Ojciec Miasta № 5. — Albo choćby nawet i ten tam Zygmunt Przybylski i jego „Wicek i Wacek“. Toć tam jest wyraźne nieposzanowanie władzy ojcowskiej, marnotrawienie grosza i zupełny brak chęci do pasku rolnego. Precz z taką sztuką ze sceny warszawskiej.

Ojciec Miasta № 6. — O, to jest mądre słowo! A weźmy na ten przykład „Dom otwarty“ jakiegoś tam piszczyka Bliźnińskiego.

Ojciec Miasta № 7. — Bałuckiego, kolego!

Ojciec Miasta № 6. — Wsio ryba! Niech mu będzie Bałucki. Kogo on wyśmiewa? Aptekarza! A czy ja,

ojciec tego grodu, nie jestem aptekarzem? Więc kogo Bałucki wyśmiewa? Mnie! Do luftu z taką sztuką.

Chór Ojców Miasta. — Precz!

Ojciec Miasta № 8. — A nawet i ten sam Freder..

Ojciec Miasta № 9. — Mówi się Fredrol

Ojciec Miasta № 8. — Tak? A ja zawsze mówię

Freder i pomimo to sklep mi dobrze idzie. Więc i ten Fredro, czy to nie jest szkodnik społeczny? Jaktó? W „Zemście za mur“ jakieś romansa młodych po za plecami rodziców. Gdzie tutaj jest powaga ojcowska? Gdzie sens, albo dobry przykład?

Ojciec Miasta № 10. — Daj kolega spokój! Fredro jest hrabia! Hrabie mu wszystko wolno, ale weźmy „Wesele“ Wyspiańskiego. To jest prawdziwy bolszewik i przewrotowiec! Witosowców z jedynki podnosi pod niebiosa a Branickich czyli ósemkę tarza w błocie. Takiego wylać ze sceny.

Ojciec Miasta № 8. — A ja, co do Fredrego z kolegą się nie zgodzę. Choć to hrabia, ale człek niemożliwy. On w „Geldhabie“ coś gada o jakimś kutasie.

Ojciec Miasta № 9. — Głupiś kolega! Gada o kutasie, ale o kutasie u szłańcy! Daj kolega Fredremu spokój. Taki pan całą gębą, ma pewnie w Warszawie kupę krewnych i znajomych, przyjedzie ze Lwowa, zacznie się awanturować i co mu Rada Miejska zrobi? Trzeba się nam będzie jeszcze ubierać we fraki, jechać do Lwowa i przeproszać pana hrabiego. Ale jest jeden pisarz bardzo szkodliwy, nazywa się Szyller.

Ojciec Miasta № 3. — Czy to nie ten, co to ma skład papieru w Warszawie?

Ojciec Miasta № 9. — Niewiem. Może. W jego sztuce „Zbójcy“ syn zamyka ojca w lochu, a drugi zbiera bandę i idzie z nią w góry Świętokrzyskie rozbijać. Takich rzeczy nie możemy tolerować na scenach warszawskich. To musi być usunięte z repertuaru.

Ojciec Miasta № 10. — Proponuję zatem ogólną rezolucję: „Warszawska Rada Miejska na posiedzeniu z dnia 15 listopada 1922 roku postanowiła usunąć z repertuaru teatrów miejskich w Warszawie dzieła: Szekspiera, Przybylskiego, Bałuckiego, Wyspiańskiego i Szyllera.

Chór Ojców Miasta. — Przyjęte.

Złoty wiek lokatorów.

Ogromnie mi żal, że już nie żyje ów król wschodni któremu tak gwałtownie była potrzebna koszula szczęśliwego człowieka. Gdyby żył bowiem w tych dniach, nie miałby najmniejszego kłopotu z szukaniem ludzi szczęśliwych! Prostu zwróciłby się do pierwszego lepszego lokatora czy sublokatora.

Tak! tak! są to dzisiaj najszczęśliwsi ludzie. Kto mi nie wierzy niech przypomni sobie co krzyczały z murów białe, czerwone, żółte, zielone i błękitne listy i co dziś jeszcze krzyczą ich niepozdzierane resztki.

— Lokatorzy i sublokatorzy! tylko my o was, dla was! za was!...

Tak, tak! szczęśliwcy! Wszyscy się o nich troszcza, myślą, obiecują! Oto za rzecz tak niewielką jak rzucenie papierka wynagrodzeni zostaną po królewsku, albowiem mocą wszechwładnych partji, zamienieni będą owi nędzni sub i lokatorzy ni mniej ni więcej jeno na samych... gospodarzy.

Pomyślcie! pomyślcie! taki zaszczyt! taka wygodła! I to wszystko napewno! dziś, jutro! Ręczy im za to jedna partja na złość drugiej partji.

Ale ci ludzie szczęśliwi, ci „za których“ „o których“ „dla których“ nie mieli czasu na wrzucanie papierków, musieli bowiem biegać z czwartego i wyższych pięter na podwórko po wodę i liczyć setki tysięcy potrzebnych na opłatę komornego.

Dwie marki.

— Czy wiesz jaka jest różnica między spadkiem marki polskiej a niemieckiej?

— No?

— Że na spadku marki polskiej traci Polska, a na spadku niemieckiej—Koalicja.

Wysiedlanie żydów z Węgier.

— Wiesz, żydów z Węgier rugują!

— To tylko takie gadanie!

Gdy żydzi z Węgier wyjadą,

Któż tam właściwie zostanie?

i motocykli, oraz wszelkie roboty, składowe, ślusarsko-mechanicznym, szewskim i stali różnych metali. wykonawca swob. przec.
Renaracje samochodów
 CHODAKOWSKI, MIERZEJEWSKI i S-ka
Laboratorium POLLABOR
 gotowe z oryginalnych angielskich materiałów podług ostat. modeli.
PALTA



W Bolszewji.

Słoń międzynarodowy. — Kiwaj, kiwaj moim ogonem, Leninku! Niech ci się zdaje, że mną całym trzęsiesz, a ja wiem, że jak raz naprawdę ogonem zamacham, to będzie po tobie i twoich teorjach.

Cyrk.

Byłem wczoraj na nowym programie warszawskiego cyrku p. Mroczkowskiego.

Bardzo pouczające widowisko. Bardzo!

Taka np. trupa Pavéy's: wyobraźcie sobie fotel (senatorski) umieszczony bardzo wysoko, a obok chytry przyrząd przypominający huśtawkę. Na jednym końcu staje jedna partja... przepraszam — jedna osoba, na drugim druga i huśtają się. To jedna jest w górze, to druga, aż nareszcie — hop! i oto jedna osoba wywija koźła w powietrzu i już siedzi w fotelu. (Zważcie na ten sposób o, senatorzy!). Albo taki p. Draessell! Jak on świetnie gra na cymbałach, w takt muzyki poddawanej mu zza sceny. W programie cymbały zostały nazwane przez uprzejmość „ksylofonami”. Jest to piękny krok w kierunku podniesienia poziomu kulturalnego naszego życia politycznego.

Nowi posłowie w nowym Sejmie nie powinni już wymyślać sobie po staremu: „ty cymbale!”, tylko: „pan jesteś ksylofon!”.

Pan Draessell przypominał mi agitatorów i mówców partyjnych, którzy w okresie przedwyborczym tak zreźnie grali na... ksylofonach, w takt muzyki za sceną.

Patrząc na t. zw. Sylfidy napowietrzne przyszła mi na myśl zaciekłość naszych partji. Pomyślcie! te niewiasty trzymały się zębami drąga, którym kręcono pod pulapem cyrku. Żadna nie puściła!

I pomyślałem sobie: gdyby tym drągiem była „wyprawa kijowska” — to prawica potrafiłaby tak samo trzymać się go zębami, a gdyby to była „rewolucja socjalna” — to trzymałaby się go zębami lewica.

Popisy trupy Ruettimaus — fikającej koziołki na trapezach przypominały mi zmiany gabinetu u nas — to jedno jest na górze, to drugie, to trzecie... a pod spodem jest siatka, na którą coraz ktoś spada, bez krzywdy dla siebie oczywiście.

Panna Loubé goniąca się w kółko ze swoim partnerem przypomina mocno drożynę i podwyżkę płac. Na zakończenie popisu panna Loubé (drożyna) wskoczyła na głowę swemu partnerowi.

To było bardzo smutne.

Potem były muzykalne słonie, które tak tańczyły jak im zagrano. Pomyślcie! takie duże, duże słonie i słuchały się małego człowieczka.

A na zakończenie wyleciała trupa arabów!

W tej chwili sąsiad mój (o mocno starozakonnym zapachu) niespokojnie ruszył się na krześle i mruknął: „Aj waji!”.

Ale po chwili przypomniał sobie, że to nie Palestyna i uspokoił się znacznie. Potem nawet klaskał...

Wyszedłem z cyrku bardzo zadowolony: tam przynajmniej ludzie nie udają. Jak błazen — to błazen, to i ubrany po błazeńsku i dzwoneczki ma... A gdzie indziej to błazny udają poważnych ludzi i gniewają się, jak się z nich śmiać.

To jest bardzo nudne.

Poeci i krytycy.

Kiedyś z wieczora
Różne „poety” biegali
I rymowali.
A gdy jaki krytyk
Zrobił im przytyk,
Wszyscy nań hurmem wsiadali
Wielcy i mali,
A kiedy go zgnębili
Znów futurowierszyli.
Aż wreszcie nie żalując skóry
Pewien krytyk mężniejszej widać natury
W te odezwał się słowa:
„O ty wierszująca epidemjo nowa!
Przeście wierszorobić, bo się źle bawicie
Dla was to jest igraszka
Nam chodzi, widzicie
O to,
By nie ogłuchnąć
I by nie zwarzować,
Czytając, co wam do łba strzeli wydrukować.
A przytem zważać trzeba, że przy tej płodności
Papieru zbraknie
A wszak są chwile w życiu,
Że... człowiek go łaknie...”

Państwa w kilku słowach.

Anglja.

Liga Narodów, Wolność narodów, (Irlandja, Indje, Egipt)
Lloyd George, sir Samuels, wice-król Indji i inni żydzi
Moskwa — Berlin.

Francja.

Przyjaźń z Anglją. Raty niemieckie. Długi carskie.

Włochy.

Funty ang., marki niem., ruble sow.

Belgja.

Zniszczenie. Czyste sumienie. Figa z makiem.

Ameryka.

Poczekamy. Zarobimy.

Japonja.

Głos w Lidze. Złoto w kieszeni. Sachalin, Kamczatka.
Szał

Niemcy.

Hoch Kaizer! Hoch Republik! Wir werden nicht
zahlen. Gazowe armaty. Krupp, ach Krupp über Alles!

Rosja.

A gite geszeftel

Polska.

Przesilenie, strejki, wiece, pochody, dewaluacja.

do ręki, Północni (pasta do zębów), Brylantyna kryształczka — Beromat (toraks komety), Góra (szpawa do posadzek) i t. p.
 ZAKŁAD MECHANICZNY Stanisława Jankowskiego Al. Jerozolim. 47
 TELEF. Nr. 401-17



W drodze do Palestyny.

— Patrz, Mojsie, jak ja sobie ślicznie to rybkę ze skóry obdartem.
 — Bardzo dobrze. Nuchym, przyzwyczajaj się, będzie jak znalezione, kiedy nas Arabowie będą obdzierać ze skóry, bo ja тебе powiem, że to Palestyna, nasze ziemie obiecane, to nie Nalewki w Warszawie.

Człek i wrony.

(Bajka gruzińska).

Wiedzie, jak to zwykle bywa,
 Człek—orze, a wrona krzyczy hałasliwa:
 Że źle nastawione plugi,
 Że leń on i jego sługi,
 Że nie zorał całej niwy,
 Że wciąż lazi, jak nieżywy...
 Człek w pocie orze dalej,
 A wrona tymczasem
 Zjada tłuste pędraki
 Wciąż kracząc z hałasem!
 A gdy człek strudzony
 Wraca do dom, nareszcie,
 Głodny i spragniony,
 To przed nim nasycona
 Z tryumfem leci wrona!
 Tak to i między ludźmi:
 Łatwo kogoś winić,
 Obmawiać, krytykować,
 Ale trudno czynić.

Raz w warszawskim powiecie, w gruzińskim Komitecie powzięto myśl zuchwałą: czyby się nie udało (teraz, gdy znikły przeszkody a komitet wypłynął już na czyste wody, gdy panom emigrantom napeczniała kiesa) zrzucić swego patrona, poetę-prezesa. On dyktatorem, podłości wzorem, on w każdej dobie myślał o sobie! On kasą władał, on nas okradał, on nas pogwałcił, on czas wyzłubił! Ale teraz pokażemy co umiemy! Manieczka i Wanieczka, Wieroczka i Sonieczka zwołali zebranie wielkie. Był i minister z Paryża, Guramowa bródka ryża; nie czekajmy ani chwili, niech ginie Kuruliszwili! Miejcie na uwadze — ja jestem Bakradzel! Ja ci radzę, Kawtaradze, wybierzmy Gozdjewal! Ot mi prezes nie z drzewa! W innym kącie Ramiszwili tumani go szwili: — No, my teraz pokażemy co umiemy! Ale co się stało? Choć zebranie się udało, gdy przyszło do roboty, jakoś nikt nie miał ochoty. Zniknął Tumani-szwili i uciekł Ramiszwili; (i minister w Paryżu nie zrobił z owsa ryżu). Ni Salakaja chytry, ani książęce mitry, nie zaradził nic, widzę, i generał Czeheidzel! I komisarz Łopatko nie zaradzi nic na to! O Gruzji w prasie cicho, gdy zmilkło czarne lichy: już nie ma i pieniędzy, schronisko ginie w nędzy... Więc spieszą emigranty, nuż korne ciąg kuranty: — Ratuj, Kuruliszwili, myśmy zawsze wierzyli — tylko Kuruliszwili zbawi nas w jednej chwili!

Na „Czarnej Gieldzie“.

— Mojsze, co ty powiesz na to, co ta... ta dżyka policja zrobiła nam takie przykroscz, taka straszna rekwizycja? Co to jest? To ma być wolnoszcz? Ja nie mogę szwindle robic? Co to jest za wolne państwo, co w nim nie można zarobic? Za te troche spekulacje, za te troche machinacje—to zaraz geld konfiskowacz? To jest przecież kajne racje! Zabrali nasze dolary, nasze funty, nasze franki... Co my teraz będziemy robic? Chyba założymy banki? Ja już miszę trzecią dobę, z żalości mi serce pęka — po co tu do czarnej gieldy wlaża nam policji ręka? Ja straciłem całkiem humor, nie mam do szwindłów ochoty, a przecież wżaszcz sze nie mogę ja do... uczciwej roboty!

Z pieśni sielskich.

Przedwyborczy uwiadł powój,
 Witos krawat cisnął znowuj,
 Podmachany pan de Rosset
 Gardło se przepłukać „posedl“

Okoń, tera człowiek świecki,
 Niewygodne cisnął kiecki,
 Prawia, że się od Lenina
 Szat kacapskich dopomina.

O Senatorach.

Nowy gatunek ludzi wchodzi u nas na tor,
 Imé pan Senator.

W głowie będzie miał pusto, ale w gębie szczytnie,
 A w łapach... chwytynie.

Leniwie sunąć będzie, pracować bez celu,
 I spać w hotelu.

Udawać będzie, że on całej Polski sterem,
 A będzie zerem.



Zbyteczni.

— Zdaje mi się, że do Sejmu na posła, żaden z inwalidów nie dostanie się.

— Bo i poco? Tam było i będzie tylu inwalidów umysłowych, że myśmy zbyteczni.

Po wyborach.

Gdy już przeminął piąty listopad,
Agitatorom język wnet opadł
I czyli socjał, central lub endek,
Zrobił w aptece z gębą „porządek“.

Już przylizano lby rozczochrane,
Wożą do Wisły partyjną pianę,
Zaszywa felczer rany i blizny
Odrodzicielom miłej ojczyzny.

Do ksiąg powraca studencka młodzież,
Porwaną w walkach latając odzież;
Zmachany niby ostatni warjat,
Wreszcie wytchnienie ma komisarjat.

Oblicza zyski mularski majster,
Od ścian odrywa papier i klajster
I mruczy, chlapiąc na mury, tynki:
— Naplakacili też takie synki!

Ci, którzy Polskę zbawili, zaraz
Szli spirytusem zalać ambaras,
Jako iż chłopu i nawet księciu
Pić zabroniono przez ciąg dni pięciu.

Komisarz rządu spętał ród karli,
By przy wyborach się nie pożarli;
Wstrzemięźliwością gdy ich ochłostał,
Po walkach chociaż ogon pozostał!

W cukierni na Dzikigasa.

— Ja zupełnie nie rozumiem, Mojsie, czego ten
Noech Priłuckij chce ze swoim blokiem? Czy tutaj w
Polsce mniejszościom narodowym jest źle?

— Im jest dobrze, Symcha, tylko Noech Priłuckij
chce, żeby jemu samemu było inaczej.

— A jak on chce, żeby jemu było?
— On chce, żeby jemu było jak Lejbie Trockiemu
w Bolszewji.

— Powiedz mi, Monetenmacher, co jest na świecie
najweselsze?

— Jakto co? Wiadomo, że dolary, bo one przecież
ciągle skaczą.



W szkole.

— Mego syna posadzi pan nauczyciel do zupełnie oddziel-
nej ławki; jego ojciec, a mój mąż został wczoraj wybrany
senatorem.

Nieco sentencji o Bolszewji.

Krzywy nos, żydowski ton,
A Zinowjew zwie się on.

Car, aby spędzić z głowy swej troski,
Ochronie mówił wciąż: — Bij!
Lecz wszak i Troc-Kij, władca żydowski
Ma w swem nazwisku też kij?

Dwa Nachamkesy, trzy Apfelbaумы
I naród, co płacze łzawie.
Czterech Unslichców, dwunastu Konów:
Rosyjskie samodzierławie.

Lejba i Symcha w powozie,
Wańka na koźle się kiwa,
To się nazywa najnowsza
Rosyjska lokomotywa.

Literackie dodatki naszych czasopism.

Dajemy Sz. Czytelnikom najnowszą powieść za-
szczytnie znanego pisarza p. Natchnionego. Ufamy,
że powieść ta, o wysokiej wartości literackiej bę-
dzie przez Sz. Czytelników powitana jako potężny
krok naprzód na drodze ku otrząśnięciu się na-
szego powieściopisarstwa ze zgubnych wpływów
i tradycji Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego, Rey-
monta, Struga, Daniłowskiego, Orkana, Berenta
i tylu innych Sienkiewiczów.

(1.) I. X. Y. NATCHNIONY.

Sztuka macierzyństwa.

Motto: Sztuka, Sztuka, i jeszcze
raz Sztuka! Oto mój cel.

On lka.

Ona się śmieje i obciera czoło pętem zroszone.

— Czy ty wiesz, com jest ja?

A ona:

— Gdyby nie miłość, znać bym cię nie chciała.

Dziwne położenie. Skąd się im to tak nagle wzięło?
Przepadło już dla nich wszystko. Niepowrotnie. Dzwonek.

— Proszę.

Wchodzi rzeźnik.

Wionęło ku nim zapachem mortadeli. Jemu się roz-
szerzyły rozkosznie chrapy. I tyle. Czy nie wiedział, że
jutro niedziela? Może. Ale nie dbał. Rozgniewało go
to. Pojutrze poniedziałek, dzień fatalny. Ona czekała
na jego propozycje. Oszalała na moment. Chwyliła
nóż i skosztowała palcem masła.

— O, gdyby nie ten zapach starzyzny!

I tak się stało, że podłoga zaskrzypiała. On się ze-
rwał, jakby piorunem rażony. Pochwycił ją i rzucił
o ścianę. Potem wskoczył na stół. Pokój zalewała wo-
da. Dał nurka. Do dna daleko. A zresztą? I przy-
pomnił sobie, że istnieje tajemne wyjście. Ale się bał:
a nuż go ujrzą? Ona zawołała z drugiego pokoju:

— Uściskaj mnie.

Zerwał się i wkrótce pochłonęły go fale.
Dnia następnego pożar niszczył wszystko do szczętu.
Na ratunek przybiegł rybak z pobliskiej gospody
Ona była wniebowzięta.

— Pierwszy raz! ha! ha!

Zagrzmiała muzyka. Ale nie nadługo. Bo wkrótce
zupełnie się ściemniło. Noc, potem świt, dzień i zno-
wu noc.

Maryla siedziała zadumana. Wniesiono stół. Za-
panowało piekące uczucie niesmaku.

— O, Boże!

Zbliżał się koniec. Wszedł Adam. Smutny i dziwny.
A za nim zbliżył się Piskalski. Krzyk. Jęk.

Potem stał się cud. Pytano zewsząd:

— Daleko do rana?

A Adam milcząco skinął. Przybiegł pies, zwany
„suką Eola”. POCO? Nikt nie wiedział. A przecież
tyle upłynęło czasu, odkąd niesamowity czar począł się
dawać wszystkim we znaki.

— Co potem?

— Potem?..

I znowu cisza. Suka Eola zawyla, jakby w trwodze
przed czymś strasznym. To w szklance herbaty roz-
puścił się ostatni atom wrzuconego przed kwadransem
z górą cukru. Nie wiedziano co począć.

— Może policja?

— Policja?

Stawało się duszno. Lamy płonęły jak zwykle,
ale tam, u pulapu, zwisiała różowa sieć pajęczyny.
Okropny to był widok.

Nagle szarpnięcie obrusem i wszystko, wśród nie-
opisanego szczęku, łomotu, spada na ziemię. Adam
wywodzi:

— Ja się na tem nie zham, ale wiem, że będzie
dobrze.

Odpowiedziano mu sarkastycznemi uśmiechami. Za-
grzmiało. Na dworze mokro, a na schodach błoto.
Wszystcy już spali. A wtedy z czeluści niebieskich po-
lają się strugi dżdżu. I tak im zeszedł czas.

O, ludzie, ludzie!

D. c. n.



Nowy Sejm.

Mucha. — Witam, witam, bardzo kawalerowi do twarzy na tym rumaku.

Nowy Sejm. — Wiem, o tem, wiem, tylko się obawiam, żeby się mój ogler nie rozbrykał i nie poniósł.

Pospolity wypadek.

— Jak się masz, co porabiasz w Warszawie?
 — Przyjechałem na wezwanie szefa urzędu P.W.L.K. Urząd ten mieści się przy ulicy Hopsztyckiego, Otóż wydałem masę na kosztą podróży i straciłem czas niepotrzebnie, ponieważ tu w Warszawie nikt mi nie umie powiedzieć co znaczy P. W. L. K. i gdzie jest ulica Hopsztyckiego. Do widzenia, spieszę się na pociąg!

„Świat” się wsypał.

— Wiesz, „Świat” Krzywoszewskiego ogromnie się wsypał.

— Co się stało?

— Świeżo wydał numer turecki z sultanem Mehmedem V i następcą tronu Abdul Medżidem. Po wprowadzeniu w tych dniach Rzeczypospolitej tureckiej, „Świat”, cały swój numer będzie musiał odwołać.